

Juliusz Słowacki

Beniowski

Spis treści

PIEŚŃ I.....	3
PIEŚŃ II.....	43
PIEŚŃ III.....	81
PIEŚŃ IV.....	119
PIEŚŃ V.....	147

PIEŚŃ I

Za panowania króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potem go wyniosła sława;
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bólu;
Albowiem była to epoka krwawa
I kraj był cały na rumaku, w polu;
Łany, ogrody leżały odłogiem,

Zaraza stała u domu za progiem.

Maurycy Kaźmierz Zbigniew miał z ochrzczenia

Imiona; rodne nazwisko Beniowski.

Tajemniczą miał gwiazdę przeznaczenia,

Co go broniła jako częstochowski

Szkaplerz – od dżumy, głodu, od płomienia

I od wszystkich plag – prócz śmierci i troski;

Bo w życiu swoim namartwił się bardzo,

A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.

Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,

Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,

Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,

Ale się staną niby harfą strojną

I bite pieśnią zapału, nie pękną.

Przez całą młodość pan Beniowski bujnie

Za trzech ludzi czuł – a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał – ale dziedziczną,

Dwadzieścia miał lat – był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną,
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów.
Potem i konie wyprzedał z uprzężą –
Nie znano wtedy jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą
Pozbył się potem swoich białozorów,
Regentowi dał charty, w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsji
Nie zyskał, jedno wyrok przeciw sobie;
Wyrok, w którym rzecz była o ekspulsji.
Mało o to dbał (tracąc na chudobie,
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi),
Lecz pan Beniowski rzekł: "Ja sam zarobię

Na drugą wioskę et si non mi nocēs,
Fortuna – z wioską nabędę i proces.

"I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem,
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność,
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadił... O nikczemność!..."
Tu pan Kazimierz jęknął harfy tonem
I na szumiący jesion łzawo spojrział.
W tej chwili zyskał trochę – trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty,
Na którego sam pan sędzia, zastał wnik
I regent – niby trzy głodne lamparty
Lub jako muły puszczane na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty
Wpadli, ogryźli i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką – doświadczenie.

O doświadczenie! ty jesteś pancierzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskim wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza;
O doświadczenie! jesteś ciepłym pierzem
Dla samolubów; tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, wśród ciemnej nocy – świecą w ręku.

Lecz pan Beniowski liczył lat dwadzieścia,
O doświadczenie jak o grosz złamany
Nie dbał – wolałby mieć wioskę i teścia,
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z panną Anielą. – Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło – dopóki wioski

Nie stracił... wtenczas po włosku: addio!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłószczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziewczęcę z białą szyją,

Była z rodziny dostatniej A...wiczów...
Kochała wiernie – wierność była w modzie
Lecz ojciec – ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce – oczy miała duże,
Czarne – jak róże, co się nad mur przegna
I mimo czujne ogrodowe stróże
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną,
A potem gorzki los tych niewiniątek
Więdnąć na włosach i sercach dziewczątek;

Aniela – mimo ojcowskie czuwanie –
Widowała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę, kiedy słychać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc spod ziemi; lecz pozwól, asindziej,
Że się nie mogli widywać gdzie indziej...

Zwłaszcza o innej porze... Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik;
Diabeł wie, jakiej wiary: w rzymskie bogi
Wierzył i wierzył w prorocтва i w sennik,
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował; zwał się cesarzów plemiennik...
Słowem, była to dziwna meskolancja
Świętości, złota, folgi – jak monstrancja.

To porównanie pojąłbyś od razu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
Odstrzeliwało słońce; kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur stał jak z głazu
Kłaniającym się ludziom na widoku
I stał jak martwy, niczym się nie wzruszył,
Lecz widać było, że żył – bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,
Na skale, a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki;

Grobelka z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki
Z trzema wieżami baniastymi w złocie
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!
Zwłaszcza że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczynił do przebycia trudne,
Wężowe w skałach ścieżki powycinał
I między róże, co rosły odludne,
Postawiał golce rzymskie: ten puginał
W ręku swym trzymał i twarz miał brodatą –
Skąd łatwo było poznać, że to Kato;

Apollo w morzu zostawił koszulę
I na Starosty górach stał bez listka;
Dalej w egipskich katakombach... ule;
Dalej posągi, którym koniec świstka
Wyłaził z gęby i przemawiał czule
Do pana zamku jak do Antychrystka...
Albowiem wszystkie te pomysły pańskie
Nie katolickie były – lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.
Jedno w koronie miał wybite oko,
A tyle widział nieba, co obiema,
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tym jednym okiem w ciemną wodę:
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grotą;
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą wśród spokojnych toni;
Albowiem w grocie Matka Boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,
Jako Dyjana o poranku biała,
Na staw z różanej tęczy wyzierała...

Słowem, było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego antenata,
Na którym meszty świeciły papuże,

Rzymska, purpurą bramowana szata,
Przy ucztach często na łysinie – róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,
Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem –
Że kto pił, zdał się mędrcom – nie opilcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się.
Lecz zakochany w cudownej Anieli,
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te groty od lamp różane – i stał się
Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;
W każdej albowiem była jego droga
I w każdej po niej została część Boga –

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia.
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, com widział Chrystusa oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę – i sędzę najpiękniejszą z krajów
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia, pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzozy jasnych są kochanką źródeł –
– A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny – jako księżyc w chmurach.

O Melancholio! nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarazasz? – Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj – niech cię porwie trzysta!
–Nie Polak – ale istny bajronista...

Trochę w tym wina jest mojej młodości,
Trochę – tych grobów, co się w Polsce mnożą,

Trochę – tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę – tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą
I będą chodzić skrzypiąc, płacząc, jęcząc,
Aż wreszcie Pana Boga skruszą – dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak Sąd ostateczny;
I przy eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnym niebie daleko jest chłodniej
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na później,
Bo do porządku mnie wołają woźni...

Ci woźni są to krytycy. – Kolego,
Byłeś w Arkadii tej, gdzie jezuici
Są barankami?... Pasą się – i strzegą
Psów; i tym żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszczą. Kraina niczego!
Pełna węzowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej – niebieska kraina,

Co za pieniądze bab – truć nas zaczyna.

O Polsko! jeśli ty masz zostać młodą
I taką jak ta być, co dzisiaj żyje,
I być ochrzczona tą przekłętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije;
Jeśli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż, co się wiję;
Jeśli masz zrównać się z podstępny Włochem:
Zostań, czym jesteś – ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie anieli niebiescy ostrzeżą
O każdej czarze – czy to w niej przez wroga,
Czyli przez węża i pajaka swego
Wlane są jady. – Jesteś córką Boga
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.
Ciebie się żadna trucizna nie imie;
Krzyż twym papieżem jest – twa zguba w Rzymie!

Tam są legiony zjadliwe robactwa:

Czy będziesz czekać, aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwiniiesz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych, co pod tronem siedzą
I krwią handlują, i duszą biedactwa,
I sami tylko o swym kłamstwie wiedzą,
I swym bezkrotnym wyszydzą palcem
Człeka, co nie jest trupem – lub padalcem.

Lecz pokój z nimi!... Nie, ten brud ruchomy
Nie zna pokoju – więc życzenie próżne!
Niechaj więc włączą w zakrwawione domy,
Niech plwają na miecz – stworzenia ostróżne,
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków, niech mają usłużne,
W jądzie maczane pióra – dusze w bagnie,
Niech żyją: takiej krwi – nikt nie zapragnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał – i Grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły – lecz z urwanej głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.

Wygnać go była kiedyś wielka praca...

Ma nas za trupa ten szakał – i wraca.

Precz z nim, lub jeśli przyczolgnie się źmija,

Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy. –

Lecz widzę, że mię ten liryzm zabija,

Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy,

Kiedy czytelnik tę górę omija

I woli prosty romans, polskie domy,

Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;

A nade wszystko szczerze, polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam,

Tylko o trochę cierpliwości proszę.

Ja sam na muzę i natchnienie czekam

I czoło moje pomarszczone noszę,

I poematu ekspozycją zwlekam,

I weny ducha lekkiego nie płoszę,

Który na mózgu jak motyl na róży

Usiądzie – aż się kwiat listkami zmruży,

A potem nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne – i na okolice
Rozeszle wonie, co wszystko pochłona. –
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę
I tu pokażę, że nie jest zmyśloną,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice,
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! – już pieśń zacznę – jużem gotów.

Był wieczór. – Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie –
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy –
Lecz nie poemat pisząc, tylko gadkę,
Powiem, że tylko wdział – konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysimi łapy,
Wsiadł na koń, spojrzął na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia – koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami

Na pożegnanie. Klasły dwa harapy –
Pana i sługi... I pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów – i na długo.

O! gdyby wtenczas jaka nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:
"Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna
Są tu ostatnie! – lecz jeśli twe dzieła
Zapisze sława wszystkiego pamiętna:
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki
Pójdą na krzyże i na tabakierki,

"A twe koszule porzną na szkaplerze,
A twe papiery – choćby to był tylko
Od ekonoma list albo przymierze
Wiecznej miłości z Handzią lub Marylką –
Sawantka łzami rzewnymi wypierze
I w sztambuch wklei albo przypnie szpilką;
Że twa peruka – jeśli masz perukę –
Frenologistów podeprze naukę;

"Że twój but prawy powieszą w Sybilli,
A o znikniony lewy będą skargi". –
Nie mówię więcej, bo mój rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi!
Lecz gdyby jaka nimfa w owej chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła,
Uczułyby w sercu coś – coś na kształt piekła...

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu!
Jak im ty jesteś smutnym głupstwem ludzi!
Zwłaszcza że wieszysz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła – za tą chmurą Pan Bóg na kształt świecy.

Ale to wszystko jedno. – Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater...
A kiedyś, dawniej, Czarnecki z kolczugą...

Ach, tak jak później nasz sejmowy krater,
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy – Wisłę przewędrował promem...
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem...

Ach, tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci;
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku
Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdym słońcem – słońc mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiać,
Że dla niezgody słońc – królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów ta bez twarzy
Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze
Wojna niebieskich krwawych luminarzy.
Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
Ułani, dawnych synowie husarzy,
Którym krew ruska chorągiewki pierze.
Pan Kazimierz jechał takim być ułanem –
Kłaniało mu się zboże całym łanem,

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał
Ani się skarzył, choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho – sługa śpiewał
Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty;
A głos po łąkach złocistych przepływał
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy,
Te drzały bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. – Rycerz wyjechał nad jary,
Skąd rzucił okiem na dom swej kochanki.
Skała ta jako wielki obłok szary
Stała nad stawem; nad nią były wianki
Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,
Z płomienistymi okny i krużganki.
Całą tej górze postać ekscentryczną
Odjęła złota noc swą szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony,

Co stał nad zamkiem, żeniony z topolą;
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolą
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawiają na tuza
Cały majątek; przegrał go i plunął –
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza
I z nadziei swych na wiek wieków runął,
Westchnął! – i wzniosła mu się w piersiach śluza,
Łzami się zalał i z siodła się sunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości. –
Przyskoczył stary Grześ: "Co jegomości?"

"Święta Maryjo, ratuj! dziecko kona!"
Na to Beniowski rzekł: "Poprawiam strzemię".
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,
W konfederatkę się chlasnął i w ciemię,
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona
Wydobył jęki, i całe trosk brzemie
Takim westchnieniem wielkim w księżyc cisnął,
Że księżyc ścmił się – zmarszczył – i znów błysnął.

Westchnąwszy jechał dalej brzegiem jaru,
A za nim sługa w ceglastym kontuszu.
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
Litość aniołów brzęczy koło uszu,
Smutny jest gotów do bójki i swaru,
Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego lozak –
Szczęściem, że żaden się nie zjawił Kozak,

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny
Gorszy niż lwica Wirgilla hirkańska.
Jechał więc smutny rycerz; za nim baczny
Na wszystko jechał Grześ – a wódka gdańska
W skórzanej flaszy dźwięk dawała smaczny
I bełkotała ta nimfa szatańska
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słyszac, jak słodko zapraszała flaszka,
Spróbował jej Grześ raz, dwa i trzy razy;

I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a głązy
Ludźmi. Więc jako żona Eneasza –
Został się w Troi, z konia spadł na ślazy,
I tak bohater zbył swojego sługi –
Ale za koniem jego szedł koń drugi...

I było coraz ciemniej... wtem – o cuda! –
Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza:
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda,
Gałąź pokrzywy miała zamiast bicza –
Tu widzę, że mi się poemat uda,
Że mi już muza swoich łask użyje za;
Więc dalej! wieszczów galopem wyprzedźmy,
Jest ex machina deus – w kształcie wiedźmy. –

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął
Widząc, że siedział czart w srebrnej koronie
Na koniu, co go jak wichur prześcignął..
I wziął z Kaźmierza ręk w kościane dłonie
Lejce, i stepem zamroczonym śmignął
Ciągnąc za sobą mojej pieśni syna.

Że Polak daje się wieść – nie nowina!

Widziałem... Ale stój, muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale. – Miesiąc świeci,
Na koniu wiedzma gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnej koronie jak anioł straszliwy,
O którym roją na pół senne dzieci,
Że ma koń ze mgły, z węzów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze...

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu
Pędził za naszym rycerzem i babą.
Dźwięk głuchy kopyt jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo jęczał słabo,
A ręka wiedzmy jak liść wielki klonu,
Gdy sczerwienieje, lub jak mówi Strabo,
Łapa ibisa, czerwona, bez pierza:
Za lejc trzymała swój – i lejc rycerza.

W zawrocie głowy rycerz wlepił oczy

W tę rękę z trzema czerwonymi żyły.
A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy –
Ale mu jego koń był bardzo miły –
Czy śwśnie szablą, aż się łeb potoczy
I spadnie z karku więdźmy do mogiły –
Ale i ta myśl druga, i ta chętką
Zdawała mu się niezła – lecz za prędką.

A tu bym wiedzieć chciał tve mądre zdanie,
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy:
Gdyby cię takie spotkało porwanie
I nie spodziewał się znikąd odsieczy,
I widział taką rękę, mości panie!
Czerwoną? – do miliona krwawych mieczy!
Taką ohydną rękę? pełną kości,
Co pozbawiła cię ludzkiej godności!

Zwłaszcza jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce – co byś więc powiedział na to?
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
I – nie wiem pewnie – lecz może wąsatą
Sę-symonistkę i nie idealną,

Ale kościana, był pozbawion woli
I tchu i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? – Więc sobie zamawiam twą łaskę
Nadał, na rzeczy ważniejszych sądenie. –
Beniowski więc wpadł w szatańską zatraskę,
Widzę w tym jego gwiazdę – przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżycą; a w tym prędkim biegu
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle – zwołniła kroku przewodniczka,
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
Patrząc, gdzie go ta wędrówka zawiodła.
Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka,
Między skałami – co mogą za godła
Służyć dwóm sercom rozdartym na wieki –
Wiodła go prosto – prosto – do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze i te skały,
I tę ścieżeczkę, pełną rudej glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały –
Z których czytelnik może robić drwinki. –
Starosta córce dał ten gaik mały
I od niej nazwał miejsce – Anielinki.
A zaś ta wiedźma, na pozór straszliwa,
Była to niańka panny, stara Diwa.

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę ibisa rękę wnet uściskał.
"Więc ty Irydą jesteś, a Junoną
Jest twoja pani? Teraz obłok prysnął!
Ach, widzę, jaką miałem myśl szaloną!
I co bym zrobił, gdybym szablą świsnął
I odciął ci tę rękę, Diwo stara.
Drugi raz nie graj w diabła i w Tatara".

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem
Widząc tysiącznych róż otwarte łono.
Chata, nakryta prostej słomy wiechem,

Ścieniona lipy ogromnej koroną,
Stała na łące, w najciemniejszej głębi,
Z girlandą śpiących wokoło gołębi.

Z drzeniem za Diwą szedł Beniowski młody
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni
I poszedł z wolna, parskając, do wody –
Ta wyglądała spod białych jabłoni
Szarfą księżycy, błękitem pogody –
Za nim koń drugi poszedł rżąc – a oni,
To jest nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni
I drzwi otworzył od panny pokoju.
Na progu stała jakby smętna ksieni
Panna Aniela, cała w białym stroju;
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jakoby złote światło świętych.

Beniowski myślał, że anioł, i witał
Jak bóstwo: długim, przeciągłym westchnieniem,
Potem się zmieszał i o zdrowie spytał –
Co dziś byłoby wielkim uchybieniem!
Nieświatowością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand, że się byronicznym cieniem
Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżycy
Swe włosy czarnobłękitne ubiera
Jakby sawantka albo czarownica,
I słyszy – że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją – lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent – a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw –
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw;

Anhelli cię ma biały za lokaja
I Balladyna skora do zabijaństw
Wolałyby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie.

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,
A piąte mi koń w stepach przyniósł kary. –
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich – oprócz tych tylko – których zaćmi.

Lecz do powieści – Więc na progu stała
Panna Aniela, prosta, dumna, czysta,
Dła zalotników zwyczajnych jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z których by żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdała przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandę
Z nimi w zielone gra lub wiąże słomki,
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują – haczek obaczą – i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazja, licea;
Ta miała często rączęta niebiałe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea,
A zaś korzyści z tych miłości małe
I małe bardzo na później trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek:
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłości nic są w miłości niewarte;
Że lepiej serce zawrócić niż głowę,

Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe
I stokroć bardziej ognście zażarte,
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczony kończą tak jak Werter w Götym.

Więc z drugiej strony w tym jest kompensacja
Dla tych, co dzisiaj są starymi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacja
I kamień, i trup w białą czaszkę ranny
Świadczą – że każda z nich, jako akacja
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała wkoło pszczół zalotnych wieńcem
I ma kochanka w piekle – potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną
I poeci ją rymami zaszczyca:
Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posepnie dziewicą,
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą
I śpiewa wichrom piekielny tryjolet,
Mając łzy w oczach – a w ręku pistolet.

Ale to nie był los panny Anieli.
Chociaż tak piękna jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna,
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiej stopie – strzelna
Nie była swymi zrennicami – zgoła! –
Lecz oczy czarne jej – paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte
I uświęcone snycerską powagą,
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte –
Ktokolwiek widział marmurową nagą
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki –

Jak owe jaje, w którym kiedyś Leda
Powiła syna bogu–łabędziowi;

Jak? – dzisiaj się to wytłumaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;
A gdym tłumaczył, to panna Prakседа
Święta – aniołek jezuicki, wdowi –
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem dała mi w sam łeb – Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że spod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Boby te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć – bo ta kochana
Panna Prakседа, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczu,
Rzuca na głowę i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który
Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką;
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka – (Czymże jest ból? Jedną chwilką! –
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry) –
Podziękowawszy za chwilki chwilowość,

Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość – włosy
A l'antique – barwy troszeczką bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jej ręka piękna, maleńka i biała
Za szorstką, silną biorąc rękę – drżała.

"Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział!
Ale me serce jest miłośnym szpiegiem.
Nie mów mi, że jest między nami przedział
Fortuny. – Jestem nad przepaści brzegiem.
Usiądź – opowiem – wszystko będziesz wiedział!
Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce...
Lecz ja cię kocham jedna – ja mam serce.

"Straciłeś cały majątek? – i cóż mi

Majątek? ludzi sąd? – ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę – a nie twych dusz mi
Potrzeba – pójdę o zebrany chlebie.
Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca – mój los już zapisany w niebie!
Ja kocham ciebie! w twoim sercu żyję,
Kto nas rozdzielić chce – ten mię zabije!

"Dzisiaj przyjechał Dzeduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moją rękę
Prosił – Mój ojciec stał się dla mnie srogi
I guwernantka jak na moją mękę
Za ojcem trzyma. I ludzie, i bogi
Przeciwko nam są – i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoją stronę.
Płakałam – patrzaj – oczy mam czerwone.

"A tu, jak na złość! dla Dzeduszyckiego
Był bal. – Czy widzisz, jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc – lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty – po kolana.

Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja? –
Ja nie ubrałam się dla nich – ja twoja!

"Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? – gdy mię ból niezmierny
Dręczy – kiedy mię przed ołtarze wleką,
Gdy nie zostanie nic, jak się w cysterny
Rzucić lub twoją się zakryć opieką:
Tyś mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już – ale mi smutno.

"Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
Oprzeć się, zostać twoją? – ja niepłocha!
Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
Kiedy ją dręczą, kiedy mocno kocha –
Zgubi się, potem u wszystkich wyjedna
Łzy nad swym sercem zgubionym i trocha
Kwiatów i więcej też żadnej nie trzeba...
Cóż to? – Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

"Myślałam, że ty mi dasz nadziei" –
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka –
"Myślałam, że ty w tej smutnej kolei" –
Tu blisko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
Wzięła ją... drżące w szkło usteczka klei,
Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyjament dzwoni:

"Myślałam..." – Głos jej o jedną oktawę
Zniżył się i pękł jak pęknięcie struny. –
Boleść złamała jej giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny,
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły uczuwszy gorzkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: "Kochasz mnie jeszcze?"

Beniowski już był na kolanach; w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli... Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarcki na skronie,
Bo na tym pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie

Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja. – A tymczasem

Jako pretendent na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.
Epiczny zamiar wyjawię otwarcie:
Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni
I skrzydeł mojej muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was osłepi wcześniej,
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój małeńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie,
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie,
Że w grobie leżąc Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżycy.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i Młoda Polska, co się bawi
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię... która po sobie zostawi
Tyle co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń mirry – ani malin...

O Boże! gdyby przez metampsykozę
W Kozaka ciało wleźć albo w Mazura
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę
Pisząc – na przykład – Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łożę
Jak szpaki Danta: rzecz taka ponura,
A taka mleczna i niewarta wzmianki –
Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewnie bym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realnij,
Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
Gdybym żył jak ci ludzie borealni:

Troską i solą z łez gorących – biedni!
Tam nędzni – dla nas posepni, nadskalni,
Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarym, mglistym, pełnym duchów...

Pewnie bym... – Lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresje – nudzą; więc, mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch Święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. – Powieść taka
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

PIEŚŃ II

O! nie lękajcie się mojej gorczy!
Dalibóg! nie wiem sam, skąd mi się wzięła;
Długo po świecie, pielgrzym tajemniczy,
Chodziłem farby zbierając do dzieła,
A teraz moja muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siac zaczęła;
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syrius rzucony przez nią lub Niedźwiadek,

Spali się – lecz ja nie winien. Per Bacco!

Różnymi drogi mój poemat wiodę;

Jak Chochlik często częstuję tabaką,

A gdy kichają, ja zaczynam odę,

Na przykład drugą piękną Odę taką

Jak do młodości. Może serca młode

Pokochają mnie za to, że jestem śmiały

Jak Roland, który wespół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć – co? – dom jeden,

Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;

I pokazać wam, jaki szczyry eden!

Jak nieraz pełne aniołów pokoje!

Jak złoty, piękny domów jest syredeń! –

Ukraińskie to słoweczko, nie moje.

Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,

Nie miłość, którą mam ku Kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,

Które na górach stoją nad stawami.

Stawy – to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnymi oczami
Patrzy, na niebie jeden – przez topole,
A drugi taki złoty księżyc – w dole.

Atoli wewnątrz tych domów dopiero
Poetyczne jest – zwłaszcza jeśli miłość
Oświeci, wonną je napelni mirrą
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość;
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... – Ta strofa ma pewną zawilóść,
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę –
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jedną – lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej –
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni –
Niż gdybym w Boga się patrzył najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpedza trwoga;

Ona umarła już. – Jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego. – O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochyla.
Różom najbielszym jej żałobę nosić.
Ją słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca
Ze słońc na wielkie słońca i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma półowie,
Jak gołąb puszcze za nią skrzydła chyże –
A tu mi ręce zawiążcie na głowie
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym w alpejskim upadłszy parowie
Spoczywał. – Miałem ja troski i krzyże;
Więcej, niż śniło się wam, filozofom.
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie

Tu, ziemskim, i tam, nadśłonecznym; oba
Smętne są. – Światy wam utworzę trzecie;
Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie,
A te zostaną pieśni jako proba
Wcale nie według mego serca – ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwale.

"Głupi! o sobie dobrze mów!" – wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika
Ocierwienionym, na piekielnym progu –
Szkoda, że w księdzu Kiefałińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połoгу
W stanie bezzennym – także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! – Jest to przestroga
Już nie Szekspira; na tym fundamencie
Moralność cała stoi. – Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja ariostyczna droga?
Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie,

Nawet pisania łatwość rzuca płamę –
Mówią, że w czterech dniach układam dramę.

O Boże! ileż bym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d..... w być zabawą,
Wyspą dla grubych naszych Sanczo Pansów,
Na której by się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę – do wiersza mam, jak sędzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pięści, kocha mię sestyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa,
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem: "Patri patriae". – Jest to nowa
Krytyka. – Stój! – ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki;

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi,
On się rozjęczy jak harfa Eola,
W róże się same jak dryjada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy na pola
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła pełna słowików topola,
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem
Jak marmur, który duszę w sobie chowa
I z wolna złotym wylewa strumieniem,
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna... O! gdyby...
Zachcenia moje są jak Kleftha żądze,
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby
I dla jaskółek... Na co?... Znowu błędzę
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,

A zbiera mrówki (mrówkami są żądze –
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł jako poznańczyk – idei).

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
Krytyka równe porobi odkrycia?
Nie wiem. – Czasami myśl w eterze pływa,
Przez piękne bardzo przelatując śnicia,
Lecz później pismo, druk tęcze obrywa
Z kształtów. – A teraz odbłysek mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie, jak serce wesołe – gdy pęknie!

Szczęściem, że pieśni tej bohater młody,
Świeży, miłośny i ma ciemne oko,
Złote połyskiem zielonawej wody,
Lecz niezbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznej pogody,
Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezja go otacza. – Czytelniku!
Na jego miejscu, o! ileż byś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
Hipogryfując, leci, tnie wyrazy,
Klnie, że wokoło zimnych serc bez liku!
Same szkielety pod nią, same płazy! –
Beniowski, jakby go Bóg o tym ostrzegł,
A priori to czuł – lecz nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał –
Biedaczek! brakło mu formy gotowej!
Nigdy się w myślów dzwon nie rozkołysał,
Idei żadnej w nim nie było nowej;
Najnowsze z ustek różanych wysysał;
I teraz, patrzcie! w pasiece lipowej
Kłęcz pokornie przy kochanki nodze –
Oboje na zbyt niebezpiecznej drodze.

Lecz młodość – o! ta, pomimo dewotek,
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
To jest kochanków młodość. – Mimo plotek
Szesnastoletnim się przybliżyć licom

Pozwólcie – zwłaszcza gdy chłopiec–podłotek
Zazdrości skrzydeł dwu syno garlicom
Dlatego tylko, że się mogą bratać,
Piórkami ścisnąć i gruchać, i latać.

O! pierwsza miłość! tej wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu;
Tej ideałem jest latanie razem
W krainie, w której nie ma końca, kresu.
Potem się człowiek głupi staje płazem;
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgoła,
Dlaczego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku świętego Anioła,
Prócz tych... – Ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu. O muzy–dziewice!
Zarumieniem waszym ucieszony,
Wracam do bajki mojej – z innej strony.

To jest – zostawiam z kochankiem dziewicę
Śród róż, drzew, świateł księżycowych, woni,
Wód rzucających srebrne błyskawice
Spod brzoź i bielą okrytych jabłoni;
Serce przy sercu i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnej dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czułe,
Lecz wieszczą mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie Starosta
Kłaniał się, poił, dał, puszył, brał na ton,
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon –
Na mózg wesołych ludzi wielka chłosta! –
Więc się rozeszli wołąc sen – niż świat on,
Co się naówczas zdał zaatlantyckim.
Został się pan Starosta z Dzeduszyckim...

Ów Dzeduszycki był to regimentarz
Podolski, wielki wróg konfederacji,
Z której niedawno chciał uczynić cmentarz,

Co do jednego wyciąć – niech go kaci!
Z Rulhier[e]a pewnie jego czyn pamiętasz,
A tu obaczysz, jak mu się wypłaci
Konfederacja: jak jest niebezpiecznie
Z demokratami być nie dosyć grzecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potem była wielka szkoda,
Bowiem go czekał stryżek lub puginał.
Nie znano jeszcze wówczas Wallenroda
I kończył jak pies, kto zdradą zaczynał,
Exemplum: oba litewskie biskupy,
Na dwóch latarniach miejskich – oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiej – jeśli ich pod lodem
Car nie utopi – łatwiej ujść latarni.
Krukowiecki jest miasta Wallenrodem,
Demokratycznym jest Gurowski. – Czarni,
Lecz obu wielka myśl była powodem,
Oba chcą Polski, aby ujść bezkarni;
Bo zna to dobrze ta piekielna para,
Że łatwiej odrwić Polaków – niż cara.

Wallenrodyczność, czyli wallenrodyzm,
Ten wiele zrobił dobrego – najwięcej!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcej już rymu na "odyzm",
Co od włoskiego "odiar–lo" – najpręcej
Może zastąpić brak polskiego słowa;
Wallenrodyczność więc – jest to rzecz nowa.

Mój czytelniku, powiem coś na ucho:
I sam Paszkiewicz... domyślaj się reszty –
"Co? sam Paszkiewicz?" – O tym jeszcze głucho,
Lecz jestem pewny. – Pomyślał: "A wiesz ty,
Że on być musi już przejęty skruchą?
On jest Polakiem aż po same meszty,
Które mu dzisiaj wyszyła Wallida,
Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda". –

– Tak jest: obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie,
Co powiedziałem: nie rzucaj się w spiski,

Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
Rzeczom, co jako piorunowe błyski
W chmurach się kryją. – Więc już rozumiecie,
Że Dzeduszycki nie miał jednej kreski
Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca;
Wszyscy w Ojczyźnie mówili: "To zdrajca!"

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy;
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr – trzy razy,
I cała wina na koguta spływa,
Dlatego że piał. A więc wszystkie zmaży
Pan regimentarz, kochanek Gradywa,
Dźwigał na sobie i chował in petto
Zemstę jak Włochy, co się mszczą stiletto.

Tymczasem chciał się ożenić bogato
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic–pół, pół–król, pół–Kato,
Pół–wariat, a pół–syn cesarów Romy;
Małeńki starzec, półysego czoła,

Ojciec, który miał córkę, pół-aniola.

Wybrawszy teścia przyjechał bez swatów,
Z intencją ojcu się oświadczył, pannie;
Wspomniał o drzewie swoich antenatów –
Nie wspomniał ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów –
Ale o królu mówił nieustannie,
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów;
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów.

Dlatego kochał psy; gdy gardło zalał...
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał wąs... za psami szalał,
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psóm kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bólu zębów, a stąd od wścieklizny;
Miał jednak dobrą stronę: aneuryzmy –

Te dowodziły, że miał serce. – Głowy

Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materialny kadłub, z okiem sowy
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi
I wiele tego wszystkiego, co ludzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu Staroście, na prawo;
Dobijał właśnie targu i na czole
Widać mu było niecierpliwość krwawą,
Gryzącą; oczy utopił sokole,
Za ręce teścia trzymał ręką prawą,
Lewą na stole, wyciągniętą prosto
Ku kielichowi i mówił: "Starosto!

"Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwić,
Wierzaj mi i bądź, Starosto, łaskawy!"
Tu pragnąc trupi głos nieco ożywić,
Pociągnął wina; pił jak but dziurawy
I zwykł się nieco był po picciu krzywić;

Tak wyciągnąwszy blisko wina kwartę,
Zmarszczył i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:

"Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą!"

Tak mówiąc teścia przyszęgo kolana

Ścisnął pod stołem, i oczy, co straszą

Chłopów jak oczy czerwone szatana,

Uczynił cukrem i ponętą ptaszą –

A miał na oczach swoich, jak jastrząbek,

Z powiek wilgotno–czerwonych obrąbek.

Starosta na pół spiący, ale grzeczny,

Nie wstawał ani odpowiadał na to;

Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,

Zwłaszcza gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,

I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,

Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.

Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,

Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez półowę
Już spał – a wreszcie nie chciał odpowiadać.
Pan Dzeduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy jął ręce układać;
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uspionego na pół serca wkradać,
Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: "Niech tak będzie".

Gadając ręce pokornie złożone
Na stół położył obie i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzzone –
Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,
Że po pijanemu zdobył sobie żonę –
Wtem nagle jak wąż wzdał się i zawrzęszczał,
Wstał... lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orła w koronie...

Orzeł na karcie był – a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita...
Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła,
Oczy w niej toną – myślałbyś, że czyta,
Że karta trupie kolory odbiła

Na jego żółtą twarz. Ksiądz karmelita
Za stołem cicho stał i patrzył z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan – to raz na księdza,
To znów na ściany patrzył wstając z wolna,
Ręka na szabli, w oczach gniewu jęcza
Ledwo się w sobie pohamować zdolna...
Lecz myślał, że mu sen mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okolna,
Ten papier nagle do stołu przybity,
Dzieduszyckiego jęk – wzrok karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli – ale mówiąc szczerze...
Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Donzuana widział na operze,
Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczerzę.
Tak trudno było pomiarkować zrazu,
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna i bez przerwy
Piał kogut, świece miały długie knoty,
Na wieżach zamku spiewał ptak Minerwy,
A w jednym oknie miesiąc stanął złoty –
Znacie działanie tej gwiazdy na nerwy –
Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łaskoty
Na dachu, jakby jęczenia grobowe;
Wreszcie Ladawy pan – odzyskał mowę.

"Ktoś ty?" – Ksiądz milczał – "Co tu robisz, mnichu?
Co znaczy papier ten? na Lucyfera!"
Tu Dzeduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął jak człek, co umiera.
Spojrzał – chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczera
Jak w zwierciadlanym łysnęła odrużgu;
Szkło tylko – gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrział i cofnął się biały
Jak воск, jak oczy, którymi go szukał
Pan Dzeduszycki; ale okazały
W cofnieniu się swym, na ludzi nie hukał,

Zwłaszcza że ksiądz był wielki – a on mały.
Nieraz zaś przedtem pan Starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę
Licząc na swoją małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
Sam by się Jowisz oburzony chwalił
Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.
Sporunowany ksiądz się w proch nie walił,
Lecz w jedną szybę okien rzucił głazem.
Na ten brzęk wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: "Konfederaty!"

Starosta spuścił łeb – ksiądz się przybliżył
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
"Przebacz, wielmożny pan, jeśliśm ubliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny, a jęki
Tego człowieka słuszne. Bóg go zniżył.
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie". –

Podczas tej mowy twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach, kołpaki,
Konfederatki czapki i rogate,
I krągłe, i kapuzy, i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się, rzekł ksiądz: "Ja jestem ksiądz Marek!"

Wstrzymał się – powiódł okiem po Staroście,
Zmarszczył się... i rzekł: "Dla Kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy;
Wy się tu, proszę, bracia, nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny – więc kapituluje".

Na to Starosta krzyknął: "Protestuję
Przeciwko zdradzie haniebnej waszmościów.
Jako Rzymianin z zamku ustępuję.

Mieć nie będziecie nawet moich kościów".
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w tej mowie niegramatycznościów
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezja gotowa – Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozpłomienionych.
Zresztą już Ursę mam z Kasyjopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pękniętych,
I Filomełę, co tak jak J. B. O.,
Ów londyńczyków słówik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezja. – Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: "Pójdę i skonam za kratą!"
Czyście słyszeli te słodkie kuranty
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak, przysięgłbym, że niefałszywe?

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Pugilares z paszportem i t[ak] d[alej].
Czy przysięgaliście jako upiory
Wrócić po śmierci przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę?
A zawsze: "Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!" –
Ach, takem ja śnił... lecz na piramidzie,
Tfu!... odebrałem list, że za mąż idzie.

To mię cokolwiek zmięszało – nie bardzo –
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem!

Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa, a me serce tak zatwardza,
Że niezabudką już ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorzkniał, że nawet nie trączę
W tej pieśni – smutnej lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące,
Gołębie słyhać tam było gruchania,
Łzy zimne – usta zmywają gorące,
Słyhać serc bicia, płacze, słowa, łkania,
Już się rozeszli – rzecz skończona – horror!
Miłość przechodzi już w pamiątek kolor...

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski,
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe – chmurą obwiedzione złotą.

W dole: Raphaël pinxit albo Giotto.

W galerii siedzi dusza. – O! tęczowa
Kopuło myśli, tyś moim kościołem! –
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem,
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa,
Serce wygląda jak urna z popiołem
W najtajemniejszej kaplicy stojąca –
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i zruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa:
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją, i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź pod skrzydły białemi.
Pękło – popioły rozwiął wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedia powagi

I ciszy greckiej; reszta – wiatru wyciem;
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem,
Czyny się stają piorunem odwagi –
Rozbiły kościół! – Pod jego rozbiciem
I serce pękło, i burza przewyła...
Z wszystkiego, patrzcie, co: krzyż i mogiła.

Przez wszystkie takie sceny, odgrywane
W teatrze naszych wnętrzności, Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę,
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane;
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona,
Kto wie – za kilka lat czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła; ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły,
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonymi, ów dąb pełen siły,

Który się dawniej kochał bez nadziei,
Jedne swe oko topiąc w Galatei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna,
Już zadyszana stanęła poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niej oczyma bawić,
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niej zaczynały jawić,
Długie, błyszczące robiąc korowody,
Ilekcio łezkę rzuciła do wody;

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet – czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy...
I serce biło w niej – bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się, a jakieś głosy
W powietrzu cichym brzęczały i gwary,
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy –
A wtem, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. – Nim oddech utracę
W tej strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa rasa nakazana
Przez księdza Marka na znak panu Sawie...
Pod biedną panną zadrżały kolana
Z trwogi – wąż leciał paląc się jaskrawie
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,
Niebo, ta rasa na gwiazdach rozbita.
I każda róża w ogniu, i falena;
Już zdało się jej, że świat cały pyta

I pokazuje ją palcem. – Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,
Gdyby to zamiast racy był świt ranny.

Lecz raca zgasła i swe włosy złote
W ciemnym powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela myśląc, jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała
W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonech w bok miotała błyski,
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie;
Przygotowała dla ojca uściski,
Dla guwernantki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon niski
Dla pretendenta do obrączki ślubnej
I z tym ukłonem uśmiech – treści zgubnej.

Mimo to wszystko serce biło szybko;
Coś do tej główki wpadło i pobiegła,
Biegnać, jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki z dala plusk spostrzegła;
I coraz prędzej leciała, i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażęgła,
Zadyszała się – i różowa wpadła
W bramę, i wkoło spojrziała, i – zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie mnodzy,
Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
Widać, że byli trzymani na wodzy,
Bo ujrzeli ją i stali spokojni.
Byli to wszystko szlachcice ubodzy,
Patryjotyczni bardzo, bogobojni,
Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
Choć zimno, rzadko który w lisich błamach.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.
Ale spojrzawszy na nich już nie drżała,
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,

Wyprostowana, sroga, trochę biała,
A okiem paląc jak transteweranka,
Biegła, jak wichher szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie,
Że rad by się był rozsądzić granicznie
Z konfederacją... i t[ak] d[alej]. – W szumie
Tych słów nic więcej nie pojęła córa,
Tylko że ojcu grozi jakaś chmura.

Błady był bowiem starzec, jego ręce
Drżały. – Tu powiem, że Dzeduszyckiemu
Pożyczył, niegdyś proszony, napędce,
Kozaków przeciw panu Pułaskiemu.
Słusznie więc teraz zbladł jako jarzące
Świece, trupowi podobien białemu.
I ów pan, cały purpurowy wczora,
Wyglądał jako statua Komandora.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnymi kroki do stołu się zbliża,
Widzi, że Sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża,
Wrywa ten nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło spod papieru, obie
Te ręce zdrajca położył na sobie –

I oblały go krwią jasną dziurawe
Dłonie, i włos mu okrwawiły siwy.
Potem ku pierśom poniósł ręce krwawe
I na żupanie białym znak straszliwy
Został, jak owe ordery plugawe,
Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
Wiesza na piersiach. – Potem się posunął,
Dał krok, zawrzęszczał jak szatan – i runął.

Serce w nim chore było coraz prędzej,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło. – Siwy ten sęp z okiem jędzy

Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia, co z tej samej przędzy
Wina się, dla nich ten rym i przekłęcie!
Niech swoją przyszłość w tej pieśni odkryją!
Niech jak psy patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, ręk własnych sczerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył,
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
A potem ręką odepchnął i zboczył.
Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami.
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec, i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc, że duszę tę – już diabli biorą.

Wtenczas Starosta rzucił się do stołu,
Kulakiem stuknął krzycząc: "Rozbójnicy!"
Przemierzył księdza od góry da dołu:
"Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy
Niż... z mojego cię wyklinę Kapitołu!
Córko, podaj mi papier – kozak, świecy! –
Siadaj tu, panna, et pagina fracta
Pisz protestacją, która pójdzie w akta".

Posłuszna panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczka łabędzie,
A starzec do niej: "Ta krew czarna, zsiadła,
Ta krew na stole atramentem będzie;
Umocz tu pióro". Aniela pobladła;
Krwią był zalany stół aż po krawędzie,
Krwią, co wyciekła z rąk regimentarskich,
Gdy mu przybito do rąk wyrok barskich.

Ale posłuszna w krwi zmoczyła pióro,
Potem spójrzała i dreszcz ją przeniknął –
"
Ów czyn nieszczęśny i haniebny... juro!...>"
Tu karmelita ksiądz powstawszy krzyknął:
"Ja egzorcyzmem te szatany zwalczę...
Co ty krwią każesz pasać, bałwochwalcze?

"A ty, panienko, grzech ściągasz na duszę
Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka.
Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę

I na tym miejscu krwi popłynie rzeka,
Gdzie stoję, a te góry palcem ruszę
I na Moskali pójdą! – Kto tu szczeka?
Kto tu urąga się z Bożego Ducha?
Kto tutaj słysząc nie słyszy i słucha?

"Zaprawdę, mówię ci, panie Starosto,
Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
I powiem ci tu bez ogródek – prosto,
Że prosto idziesz w piekielną ciemnotę.
Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą
I gdyby nie ja – te komnaty złote
Byłyby dzisiaj twoją krwią zwałane
I purpurowe, i w ogień odziane.

"Czy nie wiesz o tym, że na Ukrainie
Zaczęła się rzeź i szlachty wyrznięcie?
Pod święconymi nożami krew płynie;
Pop otwiera pierś, a chłop daje cięcie
W bijące serce. Cały naród ginie
Jak w zapalonym przez Boga okręcie;
A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
Ale beczynny, sądzisz, żeś bezpieczny!

"Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła
Miał tu pohulać z tobą, wielki panie.
Dziś by tu wielka rzeź w zamczysku była.
Idź! – on przykuty łańcuchami w ścianie,
A przy nim zbójców powiązanych siła...
Idź! obacz, jakie teraz mają łoże;
Leżą na workach, a w tych workach noże!

"O! taka pościel będzie dla grzesznika,
Co jak ty patrzy na mordy spokojnie;
Dziś byłbyś w piekle, tu bez spowiednika
Zamordowany. – Pan Sawa się zbrojnie
Z twoimi chłopcy na moście potyka
I za twą całość krew wylewa hojnie.
A twoja siwa się tu rzuca głowa,
Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa".

Podczas tej mowy pan Starosta w czoło
Księdza jasnymi patrzył się oczyma;

Nagle jak człowiek, gdy ujrzy, że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma...
Zadrzał. – A wtem pan Sawa wszedł wesoło,
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
Pół-Kozak, a pół-szlachcic – ten donosił,
Że całą groblę Starosty krwią zrosił.
I widać było to na nim; wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spójrzał i zmięszął się cały

Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzymał najeżone strzały.
Zamek był broni napełniony szczękiem,
Trup na podłodze, karmelita biały
Nad trupem, blady Starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiej postawy

Jako Sybilla z piórem w ręku. – Basta!
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.
Dalej ujrzenie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem, na drogoskazie
Wiszących – romans w poemat urasta –
Coś w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu. Pociągnąwszy hausta,

Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam nad imaginacją,
Diabłowi oddam bohatera duszę...
I pewnie zyskam wszystkich aprobację,
A tych, co płakać ze mną nie chcą – zmuszę.
I demokracją, i arystokracją
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:
Jeżeli gryzę co – to sercem gryzę.

PIEŚŃ III

O! jakże smutno w jasnej życia wiosnie
Być tak samotnym jako pan Kazimierz;
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczę, lecz czego się imiesz –
Błotem. Dopóki serce wre miłością
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzymiesz
Gdy zgaśnie, wtenczas zacznasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat – satyrą.

Dopókiś młody, bawia cię ballady,
Poezja gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady,
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgłę, w której wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca;
I myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska, i leci?... On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgłę twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań – kwita;
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia,
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcja,
Która poezji uczy: jest dyssekcja.

Szkoda, że z takiej dyssekcji wynika
Jakaś szkodliwa materialność, sucha.
"Eureka!" – nasz pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburski słucha –
"Oryginalny wieszcz do Tygodnika

Napisał nowy wierszyk, pełny ducha,
Który zapewnia mu wieniec osobny,
Wiersz, do niczego przedtem niepodobny!"

Widać, że po tym deszczu w Polsce krwawym
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj łzawym!
I w oknie duszy ma zielone szyby!...
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby,
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dlatego w raju mam zamknięte bramy
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię...
Cóżkolwiek ma być – wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy, czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łąa.? Dobrze i to! –
Wlażłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconej duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnej sławy, pokoju, wygody;
Krytykom jak psom rzucam kilka kości,
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. – Ranek
Błękitnie w polach podolskich zaświtał,
W niebiosach oczy utopił kochanek
I marzeniami swoją przyszłość czytał,
I widział ją tak uwił jak wianek
Z dni szafirowych, złotych; już się witał
Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur, pragnąc nadzwyczaj – miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed
Do skał przykutych srogimi żelazy,
Z warkoczem, który wisi jak u komet –
Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!

Młodość albowiem świeża – jak Mahomet
Panteistyczną jest i wszystkie głązy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarek w grusze.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje huryszek –
Chciałabym tam na czas być za ogrodnika
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza że w każdej grusze – do wyboru
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych
Tęczowym jest na wschodzie dogmatycznie.
U nas liczono by do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet tworząc poetycznie,
W rymach malując jedną z tych przestałych
Owoców, starą pannę, seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: "Płeć zieloną miała jak szparagi".

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w Koranie i krytyka
Milczy – krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka
Jako ostrowidz lub jako nosoróg,
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa – gdybym dbał i był gorący,
I włożył imię jej w poemat drwiący.

Imię krytyki? – nie, krytyków. – A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K...
Mówią, że Młodą Polskę pisze – baba,
Ale ja widząc, jak kasa i szczeka,
Sądzę, że jezuita – a ma draba,
Który tłumaczy na język człowieka
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcje
W diabelskim napisane dyjalekcie;

I stąd się mocno cieszę jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog

Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni, dlatego że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać,
Jakby (w balladach porównania szukaj)
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza
I czuję w sercu, że nadspodziewanie
Prędko mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie,
Ja go prowadzę w ogień: jeśli zginie,
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych! –
Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi,
Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych,
Zacząłem epos tak, jak śpiewak Troi:
Większą – bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej się poezji boi –
Więc rzecz, co działa się tam gdzieś za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem epos i, niestety,
Może nie skończę!... i w gwiazdzistych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeśli pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun, co gór prześladuje grzbiety,
Nie zaprobuj miecza i to zaraz...
Zjadłszy przynajmniej trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem, aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar atakować, gdy po wioskach wszędy
Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów bez żadnej kwerendy
Wieszał – i przyszłą republikę kształcił,
Bo Żydów palił, a niewiasty gwałcił.

Dwie drogi: jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi,

Druga, choć trochę Maltusa kaleczy
Systema i to, co za ziomki swemi
Pisze pan Cz...[...], z wolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia rzymskimi,
A Żydom nic nie szkodzi, bo Żyd w mig się
Odradza – patrz Tacyta o Feniksie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżyni.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzył, i rozmyślał, co uczyni.
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpółprzesłonięty, błady, wojska w linii
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błękitach,
Wyrzucające błysk, do żądź pszczelnych
Podobny... Kule szumiały po żytach,
Gwizdały, do jędz podobne piekielnych,
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,

Na ludziach grały jękiem – jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny
I widzisz pszczoły w słonecznym promyku
Lecące do łąk... dalej – grodek zbrojny
O milę, na równinie działa w szyku,
Ataki, słowem, krotocwilę wojny:
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krużganku patrzysz i z daleka...

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho –
I działa jak psy legły mu przy stopach;
On je pogładził i szczeknęły głucho.
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach;
Szczęsny, któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferie,
I zamiast pisać akt – stawia baterie.

Tam widać laski brzozone i klony

Błede, z gałązek kulami owiane,
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem, wygnane.
Dalekie miejskie słyhać gwary, dzwony,
Wszystko wkoło wre; tylko zadumane
Na szarym polu dwie Maćkowe grusze
Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tak długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskał pieszy ku mieścinie,
Tu kawaleria się węzowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula ponad uchem
Gwiźnie – i znów się prostuje, gdy minie,
Tu garść Kozaków jakby oczeretów
Kępa, tu błyski szabel, tam – bagnetów.

Na to pan Zbigniew patrzył sponad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
Chciałby iść w ogień – ale mówiąc szczerze,
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą barskie się łyskały krzyże.

I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
Stał jak tchórz albo gazety redaktor.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biec, gdzie burza błyskała czerwona,
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka nimfa na ramiona
Złożyła ręce... Wrzasnął głośno: "Kto tu?"
I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.
Spojrzał – na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu:

"Czy jastrząb je tu jaki" – myślał – "goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?"
Tak myśląc zdjął je i trzymając w dłoni
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elsler lub Taglioni,
Gdy udaruje ją car naszymi,
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie:
Tak owe białe gołębie, przeciwnie,

Z lotu zrobiły taniec – i nad głową
Pana Zbigniewa na skrzydłach trzymane,
Jakby miłośne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły róźane;
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo, smętne, zadumane,
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy;
I znów złączone jako płatek biały
Śniegu, gołabek przy swej gołębicy
Krecił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;
Aż zmordowani obaj tanecznicy
Najmilsze z siebie dali małowidło:
Senną kochankę gołab wziął na skrzydło,

Przyniósł na ziemię, położył na trawie
I wkoło chodząc budził garłowaniem.
Na szyję wyszły mu kolory pawie:
Miłość go takim darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie

W ogień tęczy. Z takim się kochaniem
Zapatrzył gołąb w swoją senną panią,
Że tęcza blasków z niego – przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki,
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,
Z ramion mu poszły i w kręgi, i w słoje
Tnące powietrze. Zrazu był niesparki
Lot: póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił – wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przełały swoją myśl w serce człowieka,
Coraz prędzszymi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
Awantur nowych, dziwnych, łańcuch złoty,
Zaczarowany zamek albo rzeka
Pełna rusałek. – O! domysły trafne –
Może w pokrzywy przemieniona Dafne,

Może Minotaur i zaklęte skarby,
Z których jak z dobrej wioski będzie przychód –
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by
Nie latał, nigdy by nie żył Don Kichot,
Nigdy by w Trzecim Maju nie urosły
Iluzje – na co dziś tak wrzeszczą posły.

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły –
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeschła kora miała szpary.
Z konarów liście na poły opadły,
Liść, co pozostał – zwiędły i zwałany,
Szumiał po drzewie jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleń pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,

Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze...
Nocą spod owych skrwawionych warkoczy
Próchno świeciło się w dębie – jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.
Benio wski w galop szedł za lotem ptaków,
Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery
I sześć pod dębem kozackich kołpaków...
Którzy tam pewnie jako marodery
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków...
I nie znalazłszy w nim nic – dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem wkoło suchych liści
I oczeretów, jałowców i cierni;
Już jeden krzesał ognia, który czyści
W czyścucu, a na tym świecie wszystko czerni,
I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili – wiatr dął taki jak w hamerni –
Szczęściem, bohater mój napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi

Oprócz Kozaków dwóch. – Z tych jeden stary,
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę
I poszedł, mówi Homer, między mary.
Co się z nim stało? – nie chcę i nie muszę
Mówić; bo ta rzecz należy do wiary
Greckorosyjskiej; lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religii, gdzie car – jest i piekło.

Pocieszająca myśl! – lecz nie dla cara,
Który wołałby może z tego względu
Więszą bezpieczeńność. Jedną więc ofiarą
Polskiego miecza, młodego zapędu,
Poszła ad umbra[s] i tam niech się stara
Szczęśliwszą być niż tu – gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesyłów,
Bankructw, poezyj głupich, jezuitów,

Hegłów poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko–romansistów,

Kozako–powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają – od czego ja aż do równików
Biegłem unosząc zadziwione słuchy:
I byłbym został tam – gdyby nie muchy,

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,
Nie dżuma, nie tęsknota, nie te bramy,
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie jak w Armidy palmie –
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu;

Za to w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza.
O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
Aby wiadano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Snię, tworzę; harfy używam lub bicza –
I to jest moja poetyczna droga;
Lecz z mego życia poemat – dla Boga.

On wie, On widział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących – te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną;
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać;
Tą myślą modlić się – i nie przeklinać;

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,

I jedno serce ludzkie. – Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni – te cierpiące:
Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone!
Uderzam ciebie w złości. – Milcz, szalone! –

O czymże ja mówiłem?... Ha... w tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym pan Zbigniew patrzył w blade twarze;
Wtem ujrzał, że się cierń zajęty pali,
Że się już ogień wieszka na konarze
Suchego dębu; a więc cięciem stali
Odrąbał gałąź, ta zaś, odrąbana,
Jak płomień zdjęty przez burzę z wulkana,

Leciała hucząc głucho i czerwona
Kołysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan, co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni, łakoma
Ciała ludzkiego; więc – o! myśl szalona! –
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów

Gałąź – i wiatr ją pochwycił znad trupów,

Roziskrzył, stargał, skręcił i zwinąwszy
W jeden kłęb, rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy
Słyszac, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puchacze i zmije –
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi,
Więc nic nie tworząc z ognistej gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze jak rzecz suchą,
A sam do mego wracam wojownika,
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
A z dębu nie chciał uczynić świecznika
Owej dolinie strasznej, gdzie z ropuchą
Wąż między głazy kredowymi syka
I pachnie gorzki piołun. – Więc mój rycerz
Stał – jakby z głązu go wyrąbał snycerz,

I patrzył; owych zaś gołębi para,

Która go tańcem cudownym przywiodła,
Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła,
Owe gołębie, których ja z Antara
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości – nigdy za małżeński związek! –
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skrzyły się w jego wnętrze wypróchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem
I zmieścić (nie wiem, czy mógł wojsko całe),
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę
I dzieli się tak cudownie i sztucznie
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie –

Tak że zostanie i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale że to jest cudowna zagadka
O sławie onej i o rybach onych,

Nie mówię więcej... Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę – te gołębie,

Które dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodka,
Skrzydłami siekąc w powietrzu tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę albo płotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia nasz młokosik rzeski
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemnoniebieski,
Bo próchno, niby brabanckie korunki,
Rozbłękitniło chropowate deski
Jak dla rusałki kościół lub Bogunki.
Było tam światło takie jak w zawiei,
Gdy księżyc świeci w mgle – światło nadziei! –

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosna, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje;
Ktokolwiek grootę odwiedzał błękitną
Kaprei – i tam ujrział bóstwo swoje
Nagle, błękitnym powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i w anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty
Oblewające ją od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny, lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze,
Żywy – lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi
Zamknawszy oczy, znowu je otwierał
Myśląc, że księżyc nowy z fali wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacji i ta jemu płodzi

Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał:

Niech popracuje albo puści żagle

Myślom – a ujrzy ,tu zniecka, nagle...

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owym drzewie

Od lat szesnastu za ledwie dziewczątko

W błękitne próchien rzucona zarzewie

W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządką

Arachną. – Muza moja sama nie wie,

Jaką od innych odznaczyć pieczęcią

Ów utwór nowy. – W błyskotnej sukience

Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki

Sięgały jej ust dziobki różanymi;

W oczach błękitnych przestrach wzięł na wąski

I dwie perłowych łez zrobił równymi;

Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki

Wydawały się gwiazdami złotymi

I z włosów dziwne rzucały promienie;

Bielutką miała twarz – z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jej spłonęła i szyja:
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna
I ten rumieniec, co w skażonych mija. –
Widzę, że dalej już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi.
Stwórzcie więc myślą panią dwóch gołębi;

I niechaj się wam roją rzeczy cudne
O czarodziejskim rusalek kościele;
Gdy wkoło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy, czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele –
A w głębi dębu gwar innego świata,
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozłata;

Beniowski z ładną panienką. – Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj dalej.
Miłoscie moje jako próchna świecą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;

Ledwo ustami płomienia zachwyca,
Wnet je strach księdza albo los oddali,
Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą – listownie.

W listach dopiero (a wszystkie umieszczę
W przypiskach)... mój bohater będzie czuły;
Już to nie będą moje rytmy wieszczę,
Ale esencja serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły –
Nie emigracją, bo tej diabeł nie chce
I żadną serca żądzą już nie lechce.

Ambicja serce spod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła,
Jakie pryncypia ma, a księżyc z miny
Arystokratą nazwie i dlatego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś – srebrnego.

Pryncypia! o pryncypia! jak bym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna. – Więc przekryślę
Te strofy. – Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie! – że mi serce wre i pęka.

Więc, polityczne moje falanstery,
Bądźcie mi zdrowe! – I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie, smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka – śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidiasza!
Żeby też jedna pierś jak pierś Memnona!

Żeby też jedna! – Ha... to mię przestrasza.
Kościeszko przeczuł was krzyżąc: "Skończona!"
Z krzyża swojego krzyknął tak – a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka – śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami – prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko wiedzący.
Krwia do was piłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puchar lśniący;
Słyszycie? Pękło. – Teraz mi węzłowiem
Jedno kobiece serce; jestem śpiący,
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedia gra. – Może mi przyjdzie
Grać inną: wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinks przy piramidzie
Z grobów ojczystych; patrzą blade twarze:
Może, wieszcz, zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa?
Może zamilknę jak lew, co poziewa

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę – zasnę – ha! – lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręży,
Zrzuca was, głodne sępów pokolenie!
Ugolin odbył piekło... Ognia fale!
Wyrwicie resztę sępom. – Precz, szakale!

Kto inny teraz jest nade mną, nie wy,
Na których patrzył ja, Akteon błady.
Między ciemnymi położę się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc jako mój srebrny anioł lewy,
Ona jak złoty mój duch dobrej rady
Odgoni czarne cherubinów stada
Mówiąc do nieszczęść tak – jak anioł gada.

Przez litość tylko nade mną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,

Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy:
Będę zbawiony! dumny, bezpokutny. –
Ale to wszystko sen – i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu!
Tyle, Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje spod zasłon odchyle,
Widzę, że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnej miłości winne, temu winu,
Które upaja na śmierć, Potem wskrzesza. –
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza? –

Odbiegła. – Skarży się na moją ciemność.
"Poeto, fiat lux!" – zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność;
Życzę, aby to było, czego życzą;
Tygodnik jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą, że jest coś – jak grecki antyk,

Lecz panteista trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator;
Bo mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin, i pod Ekwator,
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrzną: "Sta, viator!"
Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma;
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to – cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy
Na kształt Hektora, Ajaksa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy;
Pisze kronikę wierszem jak Wiganda,
O awanturach własnych – geografią,
Po której ludzie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał: Pomysły

Do dziejów, które się dziać kiedyś mogą.
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po rękę jak rektorska linia –
Jeśliś ciekawy, patrz rozdział: Opinia.

O! autorowie z nudy! o Feniksy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łożek!
O! polityczne moje nowe Iksy!...
Upadam wszystkim pokornie do nóżek;
Lecz życzę, aby nas dzieliły Styksy;
A teraz z waszych korzystam przestróżeń
I już nie ody piszę ani hymny,
Ale poemat ten – nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków,
Jeśli co mówi, mówi bardzo krótko. –
Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków...
Bo ani z wód kokietką, z nezabudką,
Rozmawia czyściej lilia, pani stoków,

Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,
Jako tych dwoje – których ja mam w dłoni

I mógłbym... Mógłbym, lecz nie chcę... A może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Próchno świecące księżycowo w korze
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru...
Pełne... Zatrzymaj mię, potężny Boże!
Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika
Trochę awantur własnych spod równika.

Lecz nie... Sybirski będę... lodowaty,
Dlatego wchodzę w styl nowych poetów.
Słyszycie, jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie – spiesznie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów...
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed nimi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Naprzód ksiądz jakis wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.
Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szarawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa –
Słowem: ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja nimfa srebrnej cery
Pobiegła skocznie i całując w ręce,
Oddała księdzu Markowi papiery,
Schowane bardzo tajemnie w sukience;
Potem zaczęła śpiew o sobie szczery –
Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekreczę
Alboby musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiemy ta nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niej auto–da–fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią. –
(O! hor[r]or! trzeci rym jest na żyrafę!

Muzy żałośne łzy nade mną ronią,
Bo muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz piszący poemat o k t a w a).

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę...
Mówiąc płakała – na usta różane
Kapiąc padało kropelkami słońce...
Pan Zbigniew patrzył zaś w stronę, na ścianę,
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi krzywo,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo:

"Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
Abym ojczyźnie mojej służył szablą
I całą duszą. Z bliskiego mię jaru
Te dwa gołębie sztuką prawie diabłą
Przywiodły tutaj. Znajdziesz wśród czaharu
Dwa trupy, które Pluton swoją grabłą
Weźmie i w ogień piekielny zagrabi.
Więcej mu takich dam, na honor hrabi!

"Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale że jestem bez grosza i młody,
Niewiele sobie ważę te bibuły
I pergaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek na sławę czuły
I mocno hańbę ojczyzny czujący,
Niedoświadczony jeszcze – lecz gorący". –

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ścisnąć postać giętką:
"Ja znałem twego ojca; gdyby dożył,
Pewnie by twoją chęć pochwalił prędką.
Bogdajbyś późno się w grobie położył
Jasnym jak człowiek wielki – ani wędką
Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
Zlituj się, Matko niebieskiej korony!

"Oto dziecko te oddaję w opiekę
Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!
Broń rzuconego w tę nieszczęścia rzekę,
Która z nas płynie do wieczności morza.

Pozwól! że z niego tę cielesność zwlekę,
Która tu krwawi ducha jak obroża,
A zaś mu w duszę ognistą przeleję
Rozpacz, co wszystko łamie, i nadzieję.

"Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Które by kiedyś jego Bóg rozumiał,
I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

"Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi – a węże się doń zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania
I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą
Krzycząc:
Grobowiec sławny>ale nie posiędą
Grobu ni sławy. – I to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich! – ich rodzeństwo!

"I niechaj będzie jakoby stoletnie...
Lecz nie... O Boże! nie słuchaj, Jehowa".
Tu zamilkł; oczy mu błyszczały świetnie
I pięknym srebrem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze albo za egejskie skały,
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały...

I mój rym także, po tej parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęczę na obrazie,
Pokołysawszy na kształt dobrej łodzi,
Idzie spać. – Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem, czego chce i czego dowodzi.
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił – i nic więcej.

PIEŚŃ IV

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.

W dębie na ziemi siedział Marek stary
I na kolanach rozpisывał listy;
A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: "Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami..." W nawiasie: "Niech was powystrzela

"Moskał i diabeł, że się tak kłóćcie
I zostawiacie Bar Moskali pastwą;
A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda boska i plugastwo.
Pan Regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak ptastwo
Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel,
Cierpi, że buty dziś je obywatel!

"Venit iudicium! Nie ode mnie, sługi,
Usłszy wtenczas sąd – lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Toż samo pan Róžański, co Fabiusem
Jest w naszej partii, także i ten drugi,
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi klusem
I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci.

Piszę to z głębi żalu do waszeci".

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy
Jak głos od harfy albo blask księżyca,
Lub Afrodyta, której ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica,
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku złotą mając twarz i łono.

Kto by tam zajrzał, myślałby, że który
Z Ojców Kościoła siedzi z gołą głową
I po natchnieniu patrzy w ciemne chmury,
A zaś aniołek, rączką rubinową
Dotknąwszy białej jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,
Podobną róży z gwiazd lub pełnej malwie...
Gdy starzec siedzi na orle lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje:

Książd z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jasne źródło,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna,
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej...

Lecz w owe czasy któż jedną godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie
Jak kwiat będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łąka? jak wszystko, co się zowie modą?...
Choć dobra moda była w onych czasach
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło!... Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niej każda smakuje trucizna,
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj... każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury lub koty –

Że ten wiersz bez psów, bez liszek, bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek...

A więc niech wszystko mija! – Wstańcie, burze!
I zwieście mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli jak łez pełne kruże
Przechylcie, niech je próżnymi uczyni
Czas. – Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka;
Bliżej chmur, co grzmią – niż ludu, co szczeka.

I dziś od ogniów boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię – lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów,
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiedzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka,
Czasem podobna do aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda,
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może: lutnią szalonego barda
Skruszyłbym wzięwszy pod zgięte kolano;
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno! późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? – nie wiem – i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze

Orzeł lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje ode mnie – ostatnia!

Lubiłem takie dusze dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet gdy w ciało się straszne obloką
I w pioruny się rzucają namiętne
Lub nad Safony chwieją się opoką;
Lubiłem takie dusze – niebezkarny! –
Wybrednie marząc w różach – kolor czarny.

Dziś uleczony na pól – lubię róże
Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie. – Teraz wam powieścią służyć
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę,
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej
I wszystko może ujść – w kompanii grzecznej.

Stoi więc w dębie moja młodyca
Ze świecą – jasne dwa gołębie burczą;
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy... Posłuszne się papiery kurczą
W kopertę; z lakiem ożeniona świeca –
Mówiąc Delill[e]a stylem – styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francji
Rozumu, jeszcze więcej elegancji –

Ożeniona więc świeca z laską laku,
Wydała tę łzę, która z tajemnicy
Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku –
Zwłaszcza jeżeli Moskał na granicy
Nie czyha na twój sekret, o Polaku,
Z pomocą drugiej ożenionej świecy,
I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
Zdradziecką ręką nocy (styl Delill[e]a).

Już więc ksiądz Marek (tu mnie nie dościgną
Iksy warszawskie) kochanków zaślubił
I nim oboje w małżeństwie ostygną,
Przypieczętować chciał – już lak naczubił,

Już... już... Wtem szable mu po oczach migną!
Ksiądz wstał – szczęk wielki był – pieczętkę zgubił;
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowień dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój, naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice; każda jako sierp na głowie.
Zaraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to z panem Sawą pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: "Nie pójdę godzić,
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą..."
Tak mówiąc patrzył, jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa;
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową
I znów ich konie rozniosły szalone;
Za drugim razem tnąc sztuką krzyżową
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu dwie czerwone
Trysły fontanny; jak rubin się żarzą
W biegu, nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmięszany tym ostrym do gryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas: we krwi, co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni, między oczy –

I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę... co skrami pryskając odskoczy,
Pewnie by więcej mój bohater nie żył...
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czymś czerwonym.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czasce swej zobaczył,
Gdyby nie dziwne, a dla pisoryma
Miłe zdarzenie. – Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzymą;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy muszę kończyć.
Więc pan Sawa lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. – Była to zabawa,
Której bym wcale z innymi nie dzielił,
Gdybym był panną, gdzieś, w szlacheckich dworach
Pod owe czasy i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w same czoło,
I palec już giał – gdy nagle... o dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło
Z tęczy, zlatuje na zamglone niwy:
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezji mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na ów koń ze śniegu,
Na którym siedział pan Sawa złowrogi;
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc – i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomięszala go – że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrawszy rumaka,

Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka.
A ta dziewczeczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała – strach przechodzi mrowi! –
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się złoty zrobił wąż zwinięty
W kłęby i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winać skręty,
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyjamentów.

Za włosem i za kwiatami, i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem. –
Nie widzę więcej: jary się tumania,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią...
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,

Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął – Teraz kto wypowie
Uczucia wewnętrzne w moim bohaterze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał.. a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział, co są centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze
I miał na twarzy taki wyraz boski
Jak ten, co wiersze pisząc liczy zgłoski.

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie zniknął rycerz, koń, panna, jej włosy
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał, i patrzył – gdy z dębowej groty
Wyszedł ku niemu karmelita bosy
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,
Spytał: "Dlaczego waść się bił z Kozakiem?"

"O krwi gorąca! że też ja nie mogę

Utrzymać nigdy między wami zgody!
Oto pan Sawa znowu ruszył w drogę,
Bóg wie, czy wróci, a rzeski i młody.
O młodzi! młodzi! pod waszą ostrogę
Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
Dopóki każdy z was na koniu jeździ,
Nigdy się w jednym miejscu nie zagnieździ.

"Skądże wam przyszło, żeście tu z jaszczura
Dobyli szabel i na konie wsiedli?"
Na to pan Zbigniew: "Oto jest rzecz, która
Zwaśniła obu, gdyśmy tutaj jedli
I pili: oto złota miniatura,
O którą srogi bój obaśmy wiedli.
O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;
Ja mu ją, księżu, sam zerwałem z piersi.

"A zerwawszy ją, chciałem serca dostać
Spod żeber jego tą szablą turecką".
Tak mówiąc strasznie miał marsową postać.
A ksiądz: "O takąż rzecz chodziło świecką?
Warto by obu dyscypliną chłostać!
Wstydz się, wielmożny hrabio! jesteś dziecko!

Tę miniaturę mi dała dla ciebie
Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!

"Ja zaś, nie mając kieszeni w habicie
I nie chcąc wieszać tej rzeczy na sobie,
Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie;
A przy tym i list, skropiony obficie
Łzami, a w takim pisany sposobie,
Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę,
Podjąłem się ten list schować w kapturze:

"Oto jest pismo dziś pisane w nocy,
Czytaj waść! ja tymczasem na koń siędę;
Bar potrzebuje dziś mojej pomocy:
Lub go ocalę, lub niebo zdobędę".
Beniowski, blady jak duch o północy,
Już nie uważał na księdza gawędę,
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzej niżli Troi,
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta będąca w zamku na załodze,
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze,

A sam zamyślał jechać do Warszawy
I córkę z walki uprowadzić pola. –
"O! mój Zbigniewie! nie miej ty obawy" –
Pisała panna – "nigdy ojca woła,
Nigdy ponęta, nigdy przestrasz krwawy,
Nigdy szalone szczęście lub niedola
Nie skłonią mego serca do odmiany –
Bądź sławny; jesteś mój – jesteś kochany.

"Odjeżdżam teraz – ale się otoczę
Myślami, kwiatów podolskich zapachem,
Woniami, które były tak urocze,
Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem,
Ty mię porzucał – a ja ci warkocze

Dałam całować, przenikniona strachem,
Abyś mi u nóg nie padł konający:
Tak byłeś błądy przy gwiazdach i drżący.

"Powiem ci teraz, że się była złąką,
Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
Z którymi w sercu jakaś struna pękła,
Gdy się dotknąłeś usty moich włosów...
Pomnisz, że wtenczas tak jak dziecko jękał,
Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,
Myślałam, że już ginę z światłem, z echem
I że westchnienie – śmierci jest uśmiechem.

"Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
Chmur i tak wstydzi mnie, że nie wiem czemu,
Cała się zlałam łzami i rumieńcem –
Ty wiesz, ja zawsze kwiatowi białemu
Podobna, póki mi był oblubieńcem
Chrystus. – Uśmiechnij się słońcu złotemu,
Bo mi się przed nim łza gorąca toczy
I tak rumieni mnie jak twoje oczy.

"Niespokojności pełne serce moje!
Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
Aż do mojego zamku, do Ladawy,
Każ sobie panny otworzyć pokoje;
Na oknie stoi filiżanka z lawy;
Rzucam dla ciebie w nią małeńki kwiatek –
Nosłam go dziś całą noc – bławatek.

"Nie trać nadziei nigdy! nigdy! Kto ma
Woła, ten wszystko pokona. Addio!
Z wyciągniętymi za tobą rękoma –
Jeszcze raz wołam ciebie, caro mio!
Przy tobie zawsze będę – niewidoma.
I wprzód mi serce niż ciebie zabijają.
Nie, ty nie możesz zginąć tak jak oni,
Których nie kocha nikt – i nikt nie broni.

"Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy,
Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci.
Odpowiedziała, że będziesz szczęśliwy,
Że się o ciebie wiele duchów kłóci

Czarnych i złotych z tęczowymi grzywy –
A czyny twoje ktoś na harfie nuci..
Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze...
Nie będziesz temu wierzył, lecz ja – wierzę.

"Przepowiadając mówiła mi stara,
Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
A zaś przy tobie stoi jakaś mara
Ubrana w szaty dziewicze – to chyba
Ja... Czy nieprawda? – O! gdyby ta szpara!
Gdyby ta jasna z dyjamentu szyba,
Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

"Zgodziłabym się nie widzieć na niebie –
Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu,
Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie;
Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu. –
Zda mi się nawet, że w jakiej potrzebie
Pomogłabym ci oczyma – do szczytu
Szczęścia i sławy... choćby"... Tu przerwany
Był list dwoma plamkami zwałany.

Te plamki do ust były podniesione,
Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza.
"Te całuj" – krzyknął – "te rany czerwone,
Które Chrystus miał: godne ust rycerza,
Nie te kropelki łez gorzkie i słone,
Z których rdza pada na kryształ puklerza!
Rzuć ten list – daj go, jak mówią, szatanu –
A słuchaj: ważną misję dam waćpanu.

"Piszą mi – że tron odzyskał khan Giraj,
Przyjazny zawsze Polsce był khanisko;
Masz listy, których, proszę, nie otwieraj,
Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nieblisko,
Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj
I bocian także z małą szarą pliską
Do tej krainy lecą z wielkim krzykiem;
Bocian okrętem jest – pliska sternikiem.

"Ona ptakowi na ogonie siedzi
I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
Tak jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,

Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada,
Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznię z miedzy,
Prosto wędruje i w gniazdo upada –
Gdzieś na wieśniaczej chacie, zmordowany,
Przebywszy morskie burze i bałwany.

"Ufaj mi, synu! jeśli wytkniesz sobie
Drogę, a prostą – to choćby do słońca
Zalecisz, często na krzyżu lub grobie
Odpoczywając. – Lećże więc bez końca,
A będziesz chodził w anielskiej ozdobie
Jako ojczyzny i wiary obrońca;
A nim zasługi twoje w niebie zginą,
Ziemia przeminie i gwiazdy przeminą!

"Patrz na mnie! – jestem także zmordowany,
A kto wie co tam w moim sercu płacze?
A jednak wziąłem w rękę krzyż drewniany
I chodzę tuląc do głębi rozpaczę.
Wolałbym może już w grób... jak złamany
Dąb i bez liści – lecz mi serce skacze,
Kiedy na działo wstąpi moja noga,
A działo ogniem śpiewa – imię Boga.

"Więc że i starość jeszcze jowiszowe
Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone;
Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe
I wulkany z nich wyrzuca czerwone,
I tej ojczyzny martwej wznosi głowę,
I kładzie na nią zbawienia koronę...
Także więc krwawym was obmywam chrzeatem!
A pomyśl tylko ty: czymże ja jestem?

"Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
Będzie rodziła chwasty i lilije;
Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
A który jutro Bóg nogą rozbije.
Nośże ty ducha w tej cielesnej glinie;
A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije
Z błyskawicami. Na końcu żywota
Czyny człowiecze waży szala złota.

"Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
Są policzone i nie ginie jedna

Kropelka, ani biała, ni różana,
Lecz każda waży i ważąc wyjedna
Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
A byłaby też ta Ojczyzna biedna,
Gdyby dla ciebie, zginionego młodo,
Łez nie znalazła. – Bądźże więc tą wodą

"Ochrzczony teraz i w grobowcu późnym".
To mówiąc ręce wyciągnął – i drżały.
Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźnym
I był na twarzy przerażeniem biały,
I skry mu z oczów szły, i dreszczem mroźnym,
Miłością wielką dla nieszczęsnej chwały
Czuł się przejęty. Będąc tak ognisty,
Z ręki księdzowskich wziął do Khana listy;

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi...
Jechał i marzył o przyszłości cudnie.
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi,
Nie dosyć będzie – przez gościniec z ostów,

Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów

Austerie chyba z szkła i z dyjamentu
Zbuduję – w karczmach posadzę Dyjanny
Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przeźroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny.
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie,
Niech szumi wino w twej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie,
A blisko ślubów wysokich – ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ognia plecie:
Tam ślubuj przyszłość... Muza mdleć zaczyna –
Dajcie mi bursztyn i róże, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,

Niech o młodości pomarzę półsenny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny.
Na próżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! – znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak, i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! Głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć – abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina;
I w pieśń się patrzaj tę – co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina.

I pomyśl: czy ja duszę mam powszedną?
Ja – co przebiegłszy świat – kochałem jedną.

Twój czar nade mną trwa. – O! ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem na kształt słońca
W pamięci mojej. – Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał – a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to – i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado jak słońce sumnienia,
Chodziłem z tobą jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc
Staliśmy jak dwa sny – oboje – myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w elizejskie bory;
My, cośmy ziemię tę widzieli naga,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory,
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory,
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć – znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posepną odkryła,
I boleść wyszła z niej jak nawałnica;
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te – gdzieśmy niegdyś chodzili – aleje.

Bądź zdrowa – odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze

Wyrok łamiący mnie między stracone...
Ja czekam krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie – takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdiesz, do zbielełej róży
Podobna, zasnąć. – Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły – czara wychyłona,
I pieśń gdzieś leci ode mnie echo...
Już pożegnałem cię – jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ V

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy – na niebie łopocą
Kruki jak stada posepne szatanów;
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawymi płomyki.
Tam na kurhanach posepne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmieszane z szumem liścianych hałasów
Wychodzą na step, a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącymi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu czumaków
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży – albo sęp beziórny;
Podobni z dala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone:
Odprawujące straż i zamyślane.

Beniowski przebył Dniepr – gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc wstawał zamyślony,
Obaczył ogień pod dębowym borem,

W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem,
Dzikiem i strasznej twarzy jak Hurony,
Gotował strawę, i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta, wywrócona, oczyma szklanymi
Zdała się zebrać u ognia litości.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi.
Na jednym żupan był, skóra i kości;
Drugi otyły i z rubinowemi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy – trochę baba
Na twarzy – dziwnej miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba,
Malowanymi natykana pióry.
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,
Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika –
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdziegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy ani czaju,
Żelaza kawał nosili na głowie
Jak starej kawałarki na Synaju;
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,
Zwłaszcza że słomę wkładali do butów.
Litwin pancernik, jeden z tych mamutów,

Siedział, jak mówię, i z oplecionego
Butla pił. Litwin to był starej daty;
Z chudym się na czas połączył kolegą.
A jego sługa, czerwonokudłaty
Perkunas, który pana znał małego
I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych bogów,
Kucharzem teraz był – i u trójnogów

Wieszał... ach! nie już dla Znicza kadzidło,
Lecz kawał sarny; – już nie dawne runy

Śpiewał, lecz diabła zmujdzkiego straszycło
Krzyżem odpędzał, gdy biły pioruny.
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło
I po tatarsku zawijać kołduny –
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz, to za boćwinę

Dałby dwie. – O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym – ni piu, ni meno –
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszów; o nagrodo!
Że mi ją kiedyś dasz – marzyłem młodo...

Lecz teraz tracę nadzieję. Niestety!
"Nie lza" – jak mówi Kochanowski – próżno!
Próżno deptałem parnasowe grzbiety
I miałem nieraz Dyjanę usłużną:
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryjolety,
Muza została mi rymami dłużną;
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,

"O d j e m n ą" – mówi Tygodnik – o zgrozo!

Odjemną! – czy od Tygodnika? Boże!

Kto tam odejmie co, ten będzie mądry:

Ty byś nie odjął nic sam, Pitagorze,

Z twoją tabliczką w ręku...

.....

.....

.....

.....

Po kropkach piszę dalej. Wiatr był chłodny

I ogień palił się wesoło z trzaskiem;

Beniowski nie był to bohater modny,

Co się księżycy tylko karmi blaskiem,

Przypomniał sobie właśnie, że był głodny.

Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem

Albo poeta ucieszony nowym

Rymem nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary

Przypomni sobie przed samą spowiedzią,
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią,
Albo – lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią –
Więc prosto, bez gawędy i odwleceń:
Beniowski, ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia... Teraz, kiedy go prowadzą
Tak materialne gusta, moja muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukurydza,
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka na kształt czerwienego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy
Jak serce wroga na Odyna tarczy.

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,
Chociaż Perkunas ma na kształt trójzębów
Widelec w ręku i Neptuna ramię,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów
Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie

Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie,
Choć uczy prostszej nie było w Helladzie:

Wołę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moję szlachtę – a sam w stepy,
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.
Ta różnaitość może być pokrzywą...
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz różnaitym będę dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędkie,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętkie,
A czasem piękny jak aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystka ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
Potem z niej łyśkać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
Potem nadętą dawnych przodków pychę,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, toby ją zrozumiał
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszcy, ubrany w dawny rym królewski,
Mowę, którą sam przed wiekami umiał.
Potem by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! – precz, mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę lub ciągle tętna;
Wolałbym słuchać morza na wizarze

Jakiej opoki, co wieków pamiętna,
W szumie, jakoby w nieskończonym rymie,
Odrzuca falom jedno – wielkie imię...

Niż... moja muzo, stój... Od imion własnych
Wara! z tej strofy zrobiłabyś cmentarz,
Coś na kształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz.
Krytykę Dońców i Słowian prekrasnych
Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,
Gdy ich jak złota strzała Meleagra –
Przeszyje pióro pana Michała Gra

"Ej, ty na szybkim koniu!..." Dalej wiecie...
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni,
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: "Skąd, powiedz, wracają Litwini?"
"That is the question!" Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz? – jak mówią Żmudzini –
Które ja czynię naśladowując metra:
Galop w połowie pierwszej heksametra.

Komu ty jedziesz? "Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny, w skrzydła łowi
I leci za mną jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany" – mówi Sawa.

Tak mówiąc leciał. A zaś nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła, ale taka zradna
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna;
Widać, że z chłopa drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa
Pędził do swego stepowego domu.
Była to grota podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.

Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,
Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność pana – był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał,
Straszny pies: czarny, z obszarpanym uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto ponizał
Korale; szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko lizał,
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
Sądząc się w pana pałacu – marszałkiem.

Sawa wracając raz znad Styru do lin –
Jeździł albowiem nieraz w Ziemię Łucką
Z atentacjami do jednej z podstolin –
Wracając... patrzy: pies z mordą kałmucką
Siedzi przed samą grota jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką
I oblizuje się po krwawych chrapach
Jako egipski bóg na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżycy,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał:
Ale zapatrzył się w księżyc – i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu, gdy się uspokoï
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi...
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan
Nie wyrzucał mu nic – milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony,
Na wolność puścił znów antropo faga.
Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony

I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dlatego, że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I uczył dziwną czczość zjadłszy w parowie
Poetę może, z poematem w głowie?...

Nie wiem... i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sowa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące przez burzanów fale
Lało się w grotę ognistymi błamy,
Barany białe leżały na skale
Nad grotą. – Obraz ten oprawić w ramy! –
Za Sawą wszedł koń w jamę wyzłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies łasił się, koń rżał, ptaki gruchały.
Brylantowymi jedno źródło skrami
Padało z tętmem, lejąc się ze skały. –
Idyllę moją pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały? –
Pies więc i grotą, koń, gołębie, trzoda;
Spokojne słońce wschodzi, mruży woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niej Sawa: "Oj, moja Swentyna,
Latasz po stepie jak cygańczuk bosy,
A czerwieniejesz teraz jak kalina.
Oj! będzie łycho! Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na łycho... Cyganka!"

"Na licho wyjdę czy na spokojnicę,
A tobie to co? ty wyjdź na hetmana!
Znajdź sobie jaką piękną krasawicę,
Córkę starosty albo kasztelana,
Taj siężeń... Ja ci ubiorę w brusznicę
Korowaj... Sama pójdę w step Bojana,
Gdzie mi śpiewają kwiaty i żurawie:
A spać nie będę na wproszonej ławie.

"Mnie świat szeroki! – Jak złotego gila
Przedała kiedyś Włochom guślarycha.

Ty na kurhanie dumał Czaromyła,
Gdzie tobie dumy piała Janczarycha;
A mię Włoch bił, bił! Oj! Iza mi rozchyła
Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
Jaka ja biedna była niewolnica!
A dziś co ze mnie? – wiatr! i gołębica!

"Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
Pocałuj, zapłacz, świśnij – taj polecę!
Gołobie moje umieją tańcować,
Na chleb zarobią, na cerkiewne świece...
Będzie mnie za co ubrać i pochować.
Albo ja martwa pójdę wpław po rzece,
A gdzieś rusalki srebrne wezmą sobie
I pochowają w śpiewającym grobie.

"Taj będzie koniec z żałosną Swentyną!
Oj! nalatała się ja po kurhanach!
Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!
Jak jemiełuszka! była ja przy panach!
I była między chłopami caryną!
A wszystko smutno! – Chodzę jak w kajdanach,
Ni ojca, ani matki na tym świecie!

Groszów zebrała co? – taj wiatr rozmiecie!"

Sawa jak szatan zmarszczył się: "Poganko!

A co? straciłaś już twój srebrny wianek?...

Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!

Przy tobie jakiś złoty marcypanek.

Szlachcic. – Co robisz ty z nim? mów, cyganko!

Co ty robiła z nim przez cały ranek?

Cóż? oszukana – ha? kwiatku kaliny,

A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?"

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona

Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnymi

Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona

Pokłoniła się bratu aż do ziemi;

I chwilę stojąc przed nim pokłoniona

Jak brzoza, listki wiejąca złotymi,

Wstała i nogą jakiś zygzak chiński

Kreśląc na piasku, rzekła: "Słysz, Caliński!

"Pomiędzy nami stoją te hramoty!

Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,
Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
Ani mnie ujrzysz! – ani ja wiem, kto ty,
Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję;
Łzami kupiła ja ten świat podniebny
I komu zechcę, dam pierścionek srebrny".

Tu Sawa wściekły wrzasnął: "Ty wyrodna!
Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!"
Na to – jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną –

Podobnie wtenczas się zarumieniła:
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
"Nie! nie! ja nigdy!" Białą twarz zakryła.
"Pierwszy raz jestem sploniona przed tobą;
Teraz się będę zawsze czerwieniła,
Przed każdym okiem, przed każdą osobą.

Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

"Gdy dawniej w rękach i na linie Włocha
Gięłam się jak wąż, cóż robiły pany,
Aby mnie słowem sczerwienić choć trocha!
A byłam jako kwiatek ołowiany.
Nie czerwieni się serce, aż zakocha;
Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.
Bądź zdrow, nie będę nadaremnie szlochać,
Jeśli, jak mówisz, kocham – lecę kochać!

"A gdy się dowiesz, że w kurhanie leżę,
O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
Połóż się chwilę na darniny świeże,
Niech sokół czarnym krzyż oblecie kołem.
Ja także jestem jak polscy rycerze,
A ksiądz mię posłem nazywa aniołem;
Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

"A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno
Zyskać – kto w grobie położy Swentynę?
Kto różę na nim posadzi odludną?
Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
O! jak tam w grobie niekochanym nudno
Spać na kamieniu!" Tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królewna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu...
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany,
A za nim nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły na słońcu różany,
Stanęli – Burzan, podobny do lasu,
Purpurowymi podpływał bałwany,
By morze blaskiem piorunów rozbite;
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi,
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak delfin wychodzi,
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,

Jak posąg, co się u snycerza rodzi
I cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest, a po pas – gadem.

I tak się wojsko przez burzany pruło
Jak prąd ogromny sumów lub łososi.
I tak się jako wąż żelazny snuło,
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi. –
Ale się pieśni narzędzie popsuło,
O wypoczynek moja muza prosi;
Ambrozji słodkiej już zabrakło w krużu.
A więc żegnajcie! na stepowym wzgórzu,

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!
Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół-aniółach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę,
Wstają mi z grobu mary, takie ładne!

Takie przejrzyste! świeże! żywe! młode!
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze,
Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,
A każda, co chce, z mego serca bierze:
Sonet, tragedią, legendę lub odę –
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:
"W co?... " Jeśli powiem – będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym, co drwi lub przeklina,
Ma polityczne credo; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym Szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w republik jedynaka–syna –
Mochnicki nim był u nas, ten kostera!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować. –

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci
I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do Arystokracji
I w tym bez ognia piekle bawił trzy dni;

Potem w księżeczce sądził swoich braci,
Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych

I w obcowanie ich ducha z narodem,
I w odpuszczenie naszym wadzom grzesznym,
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmiesznym
Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym.
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego sejmu – wierzę żywot wieczny.

Amen... To "amen" krztusi mię i dławi,
Jak Makbetowe "amen". – Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żurawi
W postęp... że z kości rodzą się rycerze,
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze,
Że ogień z nim spi i węże, i trwoga...
Wierzę w to wszystko – ha! – a jeszcze w Boga!

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny –
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, sczerwieni i w niebie zatrzyma
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma;

Kto Cię nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogiły głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie;

Kto Ciebie nie czuł w natury przestachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani wśród kolumn, które zamiast dachu

Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczułem, że jesteś, ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach,
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach,

Znajdzie – ja sędzę, że znajdzie – i życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci. – Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest o ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą – i świadczą o Bogu – szkielety,

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kielża...
On – piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często Go ubłaga, nie łza
Próżno stracona przed kościoła progiem:
Przed nim upadam na twarz – On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze, w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczora go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, że m skinął Ja – i wieszczą wskrzesił.

Jam z wolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmiały jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały...
Jam zbił – lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo –
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo.

Zaprawdę... Gdybyś mię widział, Narodzie!
Jak ja samotny byłem i ponury

Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką Krzemienieckiej Góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję – i stanąć za mną – lub pode mną.

Bo się kruszyła we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi, i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne –
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwiatnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mnie kochać powinna.

Jeśli wy bez serc! wy! – to moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo! płyn przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary,
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. – Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, zem wielki, że w sławę płyniemy...

Lecz rzekł: "Niech idzie tam, gdzie my idziemy".

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?

Jaka wam świeci? gdzie? portowa wieża?

Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,

Lub na koronę potrójną papieża

Piorunem myśli podniesione śmiecie

Gnacie. – Znam wasze porty i wybrzeża!

Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną –

Pójdę gdzie indziej! – i Lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać – ja mu dam łabędzie

Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;

Kiedy kląć zechce – przeze mnie kląć będzie;

Gdy zechce płonąć – ja będę rozgrzewał;

Ja go powiodę, gdzie Bóg – w bezmiar – wszędzie.

W me imię będzie krew i łzy wylewał.

Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi:

W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?

Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiadam..
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam;
Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy
Jak księżyc – słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyśka;
A w ręku twym krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc – ja syn pieśni! syn królewski! –
Padłem – A tyś już następował z bliska
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem. – Jam tylko strach i śmierć – udawał!

Znajdziesz mnie zawsze przed twoim obliczem,
Nie powalonym, hardym i straszliwym..
Nie jestem tobą – ty nie jesteś Zniczem.
Lecz choćbyś Bogiem był – ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki ten świat pędzisz biegiem krzywym..

Kocham Lud więcej niż umarłych kości...

Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych. Taka moja zbroja!

I takie moich myśli czarnoksiężstwo!

Choć mi się oprzesz dzisiaj – przyszłość moja!

I moje będzie za grobem zwycięstwo!...

Legnie przede mną twych poetów Troja,

Twe hektorowe jej nie zbawi męstwo.

Bóg mi obronę przyszłości poruczył:

Zabiję – trupa twego będę włóczył! –

A sąd zostawię wiekom – Bądź zdrów, wieszczu!

Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.

Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu

I pokazałem, że na twojej korze

Pęknięcie serca znać – a w liści dreszczu

Widać, że ci coś próchno duszy porze.

Bądź zdrów! – A tak się żegnają nie wrogie,

Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi.